

skoczył czempredzej z taksówki. Roztrącając przechodniów biegł do tramwaju.

— Muszę złapać „Osiemnastkę”! — przebiegło mu przez myśl. Czekając na przystanku, wyskakiwał co chwila na jezdnię i wypatrywał numery czerwieniących w oddali wozów. Nadjeżdżały bardzo powoli. Gdy ukazała się „Osiemnastka”, wybiegł jej daleko naprzeciw. Jechał wreszcie. Na tramwajowym zegarze dochodziła dwunasta, brakowało tylko dwie minuty. Wszystkie zegary na mieście wskazywały mniej więcej to samo.

— Do przodu przechodzić, do przodu! — nawoływał konduktor. Paweł przechodził posłusznie, posuwając się jednocześnie z ciżbą pasażerów. Widząc, że w przejściu utworzył się niebezpieczny zator, począł przeciskać się gwałtownie bokiem, w podświadomej nadziei, że przyspieszy to jego jazdę.

Miał wygląd człowieka, który czuje się bardzo niepewnie, toteż konduktor wyróżnił go spośród pasażerów pytaniem:

— Pan ma bilet?

Paweł odruchowo sięgnął do kieszeni. Wydobyl swoje pieniądze i zliczył je wszystkie — były tam trzy pięciogroszówki, jedna dwugroszówka i grosz — razem osiemnaście. Brakowało dwóch groszy do ceny biletu! Konduktor czekał z wyciągniętą dłonią. Tymczasem tramwaj zgrzytał na nakręcie, wjeżdżał w ulicę M, — było do celu jeszcze trzy przystanki.

Przeszukiwał kolejno wszystkie kieszenie. Okazały się puste, były tam różne papierki, znalazł nawet jakiś bilet wizytowy z napisem „Witold Kozicki”, ale dwóch groszy nie było.

Widząc te beznadziejne poszukiwania, konduktor począł wydawać bilety innym pasażerom, nie oddalając się jednak zbyt daleko od Pawła. Po chwili spytał zniecierpliwionym tonem:

— Ma pan pieniądze na bilet, czy nie?

— Zdaje się... że nie, mam tylko osiemnaście groszy — wyjął zmieszany Paweł.

— To za mało, musi pan wysiąść na tym przystanku.

Resztę przestrzeżeni odbył piechotą. Gdy wchodził do bramy, oznaczonej cyfrą 53, było już grubo po dwunastej. Skacząc po schodach, które znał na pamięć, Paweł znalazł się wreszcie przed drzwiami pani Urszuli. Był tego zgrzany i dyszał ciężko. Naciągnął dzwonek i czekał. Długo nikt nie otwierał, gdy zadzwonił powtórnie, usłyszał za drzwiami ciężkie czyjeś kroki. Zgrzytnął łańcuch i w uchylonych drzwiach ukazała się szurcząca twarz Zalkina.

— Pan do kogo? — spytał.

— Czy mogę się widzieć z panią Dziubielową? — wykrztusił Paweł poprzez zadyszkę. Zalkin przyglądał mu się spod zmrużonych powiek, co robiło wrażenie, że razi go światło. Miał na sobie pyjamę. Nie dając wprost odpowiedzi, zadał skolei pytanie.

— Czy to pan Popielec?

— Tak.

— Pani Dziubielowa, niestety przed chwilą wyszła — odrzekł tonem, przez który przebiegało się kłóństwo.

— Pani Dziubielowa zakała mi przyjść o tej godzinie... — próbował tłumaczyć się Paweł w nadziei, że jeszcze coś wskóra.

W odpowiedzi Zalkin wysunął przez drzwi rękę, na której błyszczał zegarek, podsunął ją Pawłowi przed same oczy.

Na zegarku tym było dwadzieścia po dwunastej (widocznie Zalkin miał zwyczaj posuwania zegarka naprzód).

— O ile wiem... — rzekł tonem, który zmroził Pawła do reszty, — miał pan tu być o dwunastej, pani nie mogła niestety czekać na pana dłużej niż kwadrans.

Paweł nie miał nic więcej do powiedzenia poza jednym słowem — przepaszam.

Powiedział to słowo, skłonił się w milezeniu i poszedł. Schodząc po stopniach, usłyszał za sobą stłumiony, kobiecy śmiech. Może mu się zresztą tylko zdawało.

Drogę powrotną odbył bardzo powoli. Idąc, nie słyszał nic dookoła, toteż, gdy znalazł się przed swymi drzwiami, odniósł wrażenie, że przyszedł tu bardzo prędko, sam nie wiedząc kiedy. Zwalil się znów na nieposłane łóżko, tym razem w palcie i kapeluszu.

Nie chciał o niczem myśleć, ani nad niczem się zastanawiać — czuł tylko potrzebę leżenia bez ruchu. Leżał więc w ciszy, której mu nie mąciło nawet tykanie zegara. O jakiejś godzinie, gdy zdawało mu się, że już nie zaśnie — rozległ się dźwięk najmniej spodziewany — dzwonek z wyłączonego telefonu.

— Umarli mówią — mruknął, biorąc do ręki słuchawkę.

— Halo!

Usłyszał niski, kobiecy alt. Nie był to głos pani Urszuli.

— Dzień dobry panu.

— Dzień dobry...

— Oczywiście, chciałby pan zaraz wiedzieć, kto mówi?... — Zapewne, skoro to nawet pani przewidziała.

— Otóż oznajmiam, że jeżeli pan będzie zadowolony, to

nie pan się nie dowie.

— Wątpię, czy uda mi się stłumić ciekawość, ale... czy pani jest aby dobrze połączona, może to zwykła pomyłka?

— Niech się pan nie obawia, wiem doskonale z kim mówię, z panem Pawłem Popielem, poznaję pana po głosie.

— W takim razie nie rozumiem, dlaczego ja nie mogę poznać pani po głosie, jest wprawdzie miły, ale zupełnie mi obcy.

— No widzi pan, a jednak prowadziliśmy z sobą kiedyś częste rozmowy.

— Usiłuję sobie napróżno przypomnieć, niestety...

— Widocznie ma pan kiepską pamięć.

— Trudno, przyznaję, może więc zechce mi pani ułatwić zadanie i powie nazwisko.

— Zaczyna się pan niecierpliwić...

— Zgadła pani, obawiam się nawet, że się szybko zmęcze...

— To co pan teraz powiedział, nie było uprzejme.

— W tym wypadku mogę sobie pozwolić na małą nieuprzejmość, dzwoni pani do mnie ni stąd ni zowąd, nie chce powiedzieć swego nazwiska, ani poco dzwoni, słowem bawi się pani w typowe telefoniczne żarciki.

— A propos żarcików, zadam panu jedno pytanie.

— Słucham.

— Czy pan opłacił rachunek za swój telefon?

— Jaki telefon?

— Swoją własną, ten, którego słuchawkę pan trzyma w ręku, przecież jeszcze przed godziną był nieczynny, nie przypomina pan sobie?

Paweł nie spodziewał się takiego pytania, przez dłuższą chwilę beznadziejnie szukał odpowiedzi. Wyręczyła go w tem nieznajoma.

— Czy i nadal uważa pan moje telefoniczne żarciki za „typowe”? — spytała i rezygnując z dalszej rozmowy, odłożyła słuchawkę.

Ten dziwny dialog przywrócił Pawłowi równowagę, zmuszając go do myślenia. Począł się zastanawiać nad zagadkową istotą, która zaplaciła za jego telefon, o czym powiedziała go w lekkiej aluzji. Mimo starannych przeszukiwań pamięci nie znajdował wśród znanych osób z jej głosem. A już zupełnie zbiło go z tropu twierdzenie, że prowadziła z nim kiedyś częste rozmowy.

— Jest to bądźco bądź jakaś opiekuńcza dusza — orzekł w konkluzji, mimo to uczuł niesmak do samego siebie.

Przez swoje finansowe niedbalstwo nastroił jakieś damie okazję do splatania mu figla. Zaplaciła za jego telefon. Dotychczas nie miał zwyczaju korzystania z pomocy kobiet i żart ten podziałał na jego ambicję.

— Stacząc się coraz niżej — pomyślał ze smutkiem — gdy sprawy pójdą dalej po tej linii, zostanę sutenerem...

Pocieszał się jednak myślą, że z czasem tajemnicza dama zgłosi się do niego po zwrot samorządnie udzielonej pożyczki.

Narazie jednak telefon działał i trudnoby było z tego nieskorzystać. Po chwili namyślił Paweł postanowił zadzwonić do Lubystka i wprosić się do niego na obiad. Z domu, w którym mieszkał Lubystek, odpowiedziano, że przed chwilą wyszedł. Paweł zostawił dla niego zlecenie, aby zadzwonił, gdy tylko wróci. Będzie czekał na jego telefon. Gdy odwiesił słuchawkę, zauważył dopiero teraz, że ma na sobie palto. Zdjął je z siebie czempredzej i przebrał się w szlafrok.

Tymczasem niefortunny dzień dobiegał końca. Niebo, na które Paweł miał z okien rozległy widok, oczyściło się z brudnych chmur. Spozza kominów przeciwnego domu, wysunął się wąski śpiersz księżycy i sączył blade światło do jego pokoju. W ciszy, którą mącił jedynie zaokienny, daleki pomruk ulicy, rozległy się trzy głośne puknięcia do drzwi, po krótkiej przerwie trzykrotne pukanie powtórzyło się, poczem nastąpiła cisza.

Paweł znał ten sygnał, ustalił go sam w swoim czasie z bliskimi przyjaciółmi dla wykluczenia niepożądanych wizyt komorników, wierzycieli, lub też wystawców elektrowni, którzy pozostawiali po sobie nieprzenikloną ciemność, a w niej czający się lęk przed jakąś niechybną groźną niewiadomą. Trzykrotne stukanie w pewnych odstępach, oznaczało wizytę duszy bliskiej, a w każdym razie nieszkodliwej.

Dźwignął się z łóżka, zapalił światło i wpuścił tę duszę, która mieszczała się w niskiej i wątpliwej postaci.

Znalazłszy się w pokoju, niepokązna figura mrużyła przez chwilę oczy, kryjące się poza okularami w rogowej oprawie, poczem zdjęła kapelusz, obnażając przedwczesną, młodzieńczą łysinę i uśmiechnęła się blade, lecz przyjaźnie. Z ust przybylsza wydobył się głos niski, niewiele głośniejszy od szeptu.

— Jak się masz Pawełku, co się z tobą dzieje?

Od jednego rzutu oka Paweł poznał tę twarz zapomnianą. Nie mógł to być zresztą nikt inny jak Maciej Zebrzydowski, klasowa ofiara, nad którą wszyscy znęcali się w szkole. Wczesne zestawienie się, pogłębiło w nim jeszcze bardziej nieśmiałość i ten wyraz lekki, dla którego uchodził wszędzie za ciamajdę. Pomimo przynajmniej znużenia, jakie Paweł odczuwał, przybycie Macieja uradowało go szczerze.

— Maciuś, przyjacielu! — wymówił jakimś nieswoim głosem — jakże się cieszę, żeś się zjawił.

Zakrzętał się koło kolegi, pomagając mu rozebrać się z palta, odwinąć cienką szyję z grubego szalika.

— No, siadaj przyjacielu i mów skąd się wzięłeś? — ośmielał go tonem, pod którym kryła się jeszcze większa nieśmiałość.

Maciej usiadł na podanym mu krześle, boczkiem, jakby bojaźliwie.

— Ja mieszkam dawno w Warszawie — począł mówić, przecierając okulary z wilgoci — zachodziłem do ciebie już nieraz, ale nigdy nie mogłem się dostukać, dopiero nasz wspólny znajomy Lubystek, powiedział mi, że trzeba stukać trzy razy... ale Pawełku bój się Boga, jak ty wyglądasz!? — przerwał, spoglądając uważnie na twarz Pawła przez włożone okulary.

— Cóż takiego? Czyżbym się bardzo zmienił — zapytał Paweł z niepokojem.

— Nie zmieniłeś się, ale... masz taką cerę jakąś ziemistą, czyś ty przypadkiem nie chory?

— Nie, nie mi nie jest — uspokoił go Paweł, ale po chwili wstał i podszedł do lustra. Wyglądał istotnie niepokojąco. Twarz miała barwę żarą, przebiegała spod skóry żółtawym odcieniem. Włosy zlepione w kosmyki, spadały w nieładzie na spoczone czoło.

— Choruję psychicznie — rzekł do Macieja, zdobywając się z trudem na ton wesoły — ale jeszcze nie zwarłowałem kompletnie, więc się nie obawiaj. Opowiem ci o tem kiedy indziej, bo to dłuższa historia. Teraz ty mów o sobie.

Maciej odchrząknął nieśmiało i poruszył się na krześle w zakłopotaniu.

— No cóż, u mnie wiele się zmieniło — począł mówić swoim cichym szemraniem — szkoda, że nie mogłem wcześniej się do ciebie dostukać, chciałem cię prosić na moje wesele. Ożeniłem się.

— Co mówisz, z kim?

— Z taką sobie miłą, spokojną dziewczyną. Z domu nazywa się Lędzianówna. Ojciec był kupcem, handlował fortepianami, ma jakieś zaoszczędzone grosze. Matka osierociła ją dawno. Skończyła konserwatorium, gra na fortepianie.

— No to winszuję ci przyjacielu — wykrzyknął Paweł w sztucznym rozradowaniu i uściśnął podaną mu rękę, bezwładną i sztywną niby proteza — sądzę, że jesteś szczęśliwy — dodał.

— Maciej uśmiechnął się blade — szczęśliwy — powtórzył bezdźwięcznie — spójrz na mnie, czyż tak powinien wyglądać człowiek szczęśliwy?

— Zawsze tak wyglądałeś, nie wiele się zmieniłeś...

— To prawda, ale przyznasz, że nie promienieję ze szczęścia, nie mówię tu w tej chwili o moim małżeństwie, owszem, zgadzamy się z żoną i szanujemy, ale czyż to jest wszystko, czyż tego oczekiwali się wówczas od życia kiedyśmy się wkuwali na szkolnej ławie. A zresztą, co tu gadać, straciłem posadę...

— Zredukowali cię?

— Tak.

— To nieprzyjemne...

— O nawet bardzo, zwłaszcza przy mojej zupełnej niezaradności. — Maciej westchnął i zamilkł. Paweł przechadzał się po pokoju. Przgnębiony wsunął dłonie w rękawy szlafroku i skulił się w ramionach, jak człowiek zziębnięty. Zastanawiał się nad czymś długo, coś rozważał, zagłębiając aż do podstaw istotę problemu. Odezwął się wreszcie głucho, mówiąc jakgdyby sam do siebie:

— Posada... czyż to konieczne?

Maciej spojrzął na niego pytająco. W tej chwili zadzwieczył dzwonek telefonu. Zgłaszał się Lubystek.

— Czekam na ciebie, zjść! — namawiał go Paweł — mam bardzo milego gościa, zanieś się zresztą, pan Zebrzydowski, przychodź koniecznie. Dowidzenia.

Odłożył słuchawkę i mówił... dalej.

— Posada... marzenie o posadzie... to ciągle dążenie do występowania się jakiejś wyższej jednostki czy niższej zbiorowości...

— Czyż to konieczne?

— Znacznym przeciw Pawełku i wiesz, że sam prochu nie wymyśle...

— Próbowaleś?

— Czego?

— Pytam się, czyś myślał kiedy o samodzielności, o tem żeby stworzyć coś nowego, jakiś nowy warsztat, w którym ty bylibys majstrem, a nie czeladnikiem?

— Nie, o tem nie myślałem...

— Wiem, że nie myślałeś, nie potrzebujesz mi nawet tego mówić, znam takich jak ty, synalków.

Zatrzymał się przed Maciejem i wymachując nad nim rękami szlafroka, mówił z wzrastającym podnieceniem.

— Kiedyś jeszcze leżał w kołysce, za rosyjskich czasów, już marzył o posadzie, nie wypierając się, rodzice twoi wysadzając cię na nocniczek, widzieli cię w swoich marzeniach siedzącego na dobrej posadzie. Wychowałeś się, chodziłeś do szkoły i zdawałeś egzaminy...

— Z tą niezbyt pewnością, że otrzymasz w końcu posadę... Posadę! Pomyśl tylko co za absurd: kiedyś się uczył historii, widziałeś w swojej wyobraźni cwałujących na koniach triumfatorów,

którzy zdobywali i dzielili połacie kuli ziemskiej wzdłuż i w szerz, jak chcieli; miałeś w rękach chemję — Boską moc przetwarzania materji, ba, zająłeś nawet w metafizykę — ockłań, w której się skończy nasze istnienie, albo rozpocznie na innej fali... I przyznaj teraz pokrako, że obcuując z tem wszystkim, myślałeś tylko o posadzie, no, czy nie tak było?

— Tak Pawełku, masz słuszość, ale powtarzam ci, że jestem w życiu niezaradny i nie nadaję się ani na wodza, ani na wynalazcę, nie wiem nawet, czy mógłbym zostać człowiekiem niezależnym...

— Więc aż tak w siebie zwątpiłeś?

— No, znasz mnie przecież...

— Otóż posłuchaj teraz, co ci powiem. Do tego, żeby być niezależnym, nie trzeba żadnej nadzwyczajnej siły, woły chodzą zwykłe w zaprzęgu. Trzeba zupełnie czego innego, odrobiny abmicii, ciekawości życia i wytrwałości.

— Cóż ty nazywasz ambicją?

— Niechęć do tego stanu, w jakim ty się obecnie znalazłeś. Zredukowany — to miłe określenie. Nudną i nieciekawą figurę wyrzucono poza grono ludzi bardziej interesujących, poprostu sympatyczniejszych.

— Mój drogi Paweł, mówisz mi rzeczy nieprzyjemne... — wtrącił Maciej tonem urazy.

— Owszem mówię i bardzo się cieszę, że zaczynasz się wreszcie obrażać, może uda mi się obudzić w tobie ambicję, która będzie ci teraz bardzo potrzebna.

— Taw uważasz?...

— Jestem tego pewien, skoro cię wylali z posady, to musisz radzić sobie sam, chyba, że marzysz o nowej posadzie, w takim razie pardon, ambicja jest tu zbędna.

— Wątpię, czy uda mi się dostać nową posadę, szukałem, starałem się i wszelkie nadzieje zawiodły...

— No właśnie, a zatem musisz zmienić system i postępować tak, jak wielu innych, uruchomić swoją inicjatywę i działać na własną rękę.

— No tak, ale widzisz Pawełku, ja dotychczas piastowałem urząd nie wymagający specjalnej inwencji, poprostu wpisywałem kolumny cyfr do księgi głównej.

— Byłeś kółeczkiem w maszynie i dałeś się z łatwością wymienić na inne kółeczko, na przyszłość powinieneś się silniej zabezpieczyć.

— Jak to zrobić?

— Musisz mieć w interesie swój udział.

— Niestety, nie mam żadnych danych potemu.

— No to marny twój los przyjacielu, szczerze ci współczuję, bo przypuśćmy nawet, że po wielu wysiłkach uda ci się znowu otrzymać funkcję automatu, w tym wypadku jedynym atutem mogłaby być jakaś nadzwyczajna sprawność, wydaje mi się jednak że jej nie posiadasz. No i co, przyjdą zmiany, nowi zwierzchnicy, z których każdy dla bezpieczeństwa otacza się swoimi ludźmi i... znów cię wyleją. Niedobrze jest z tobą Macieju, zastanów się tylko.

— Pewnie, że niedobrze, ale coż robić?

— Czy nie masz żadnych pieniędzy?

Maciej nie od razu odpowiedział na to pytanie, przez chwilę wiercił się niespokojnie na krześle, przecierał okulary, spoglądając na nie pod światło, wreszcie rzekł cichym głosem.

— Mogłbym wydestać od teścia, ale bardzo niewiele...

— Ile? — spytał Paweł krótko.

— No, jakieś kilka tysięcy... ale musiałyby to być zupełnie pewny interes.

— Jak się nazywa twój teść?

— Krzysztof Lędzian, to człek starej daty.

Rozmowę przerwało stukanie Lubystka. Wpuszczony do wnętrza, wszedł kłnąc siarczyście od progu.

— Znowu u ciebie winda zepsuta, do diabła z temi schodami, patrz, całe plecy sobie usmarowałem!

Kwitające rumieńce na policzkach wskazywały na to, że był po paru kieliszkach. Zresztą zalatywało od niego kminikiem.

— Cóż tu za straszny bałagan — wykrzyknął, rozglądając się ze zdumieniem po mieszkaniu Pawła, — nie sprząta się tu u ciebie?

— Owszem, sprząta się dwa razy na tydzień, ale wróciłem wczoraj zalany, z jakimś facetem, który spał tu u mnie, potem pogubił spinki i trzeba było wszystko odsuwać — tłumaczył się Paweł.

— Cóż to za facet?

— Nie wiem, jakiś starszy jegomość nie raczył mi się przedstawić...

— To miłe zwyczaj.

— Owszem, ale zdejm palto Antos i przywitajcie się panowie, zanieś się przecież...

— Ach tak, znamy się z panem Maciejem, piliśmy razem, zobacz no, jak się straszliwie usmarowałem — lamentował Lubystek, rozpościerając w rękach wybielone palto.

— Schody są zasadniczo dobre tylko po paru kieliszkach stają się niewygodne.

— A po paru butelkach są już zupełnie niezdadne do użytku — wtrącił swój dowiec Maciej.

— No, ale za to ty ładnie wyglądasz — śmiał się Lubystek, spoglądając na Pawła z ironicznym zachwytem — kiedy zapraszasz na swój pogrzeb?

— W kilka lat po ukazaniu się twego nekrologu — odciał się Paweł i zerknął ukradkiem w lustro, które odbiło wiernie jego zmierzowana twarz.

— Kiedyż to jadłeś ostatni obiad?

— Nie baw się w sadyzm, powiedz lepiej czy masz co w kieszeni? — zapytał Paweł rzeczowo.

— Jakbyś zgadł, mam okrągłego pięćdziesiątaka — tu Lubystek przybrał ton wyszczerzonej uprzejmy, wymawiając słowa przeciągle i krygując się błażenisko.

— Sądzę, że prezes mi nie odmówi, gdy ośmielę się prosić go wraz z panem Maciejem na skromną kolacyjkę do baru pod „Księżycem”.

Wypowiedziawszy to zaproszenie, skłonił się czolobitnie i stał zgarbiony z kapeluszem w ręku.

— Na najbliższym posiedzeniu rozważę pańską śmiałą propozycję — odrzekł Paweł, patrząc na niego zgóry i naśladując ton prezesa — hm. Wprawdzie prowadzę kurację odtłuszczającą i właśnie dziś rozpocząłem głodówkę... ale... kto wie, może skorzystam z tego zaproszenia...

To rzekłszy, odetchnął z ulgą, czując, że puste książki skracają mu się z tęsknoty do jada.

— No to zrzucaj ten szlafrok i ubieraj się prędko — zarządził Lubystek — pójdzie pan z nami — zwrócił się do Macieja, który siedząc cicho na boczku, uśmiechał się przyjaźnie.

— Owszem, jeżeli nie zrobię panom różnicy...

— Ależ koniecznie, pogadamy sobie przy wóźnie...

— Porozmawiamy sobie o interesach — wtrącił Paweł, wchodząc za desek przepiętanie, którym odgrodził sypialnię od reszty, tego dziwaczego mieszkania.

— Właśnie, trzeba się zabrać wreszcie do interesów — przytakiwał Lubystek — młodość ucieka, a forsy jak niema, tak niema.

— Czy panu też ciągle brak forsy? — zwrócił się do Macieja z pytaniem.

— Ciągłe... — wyszeptał tamten ze smutkiem — ale przecież pan jako Lubystek, ten słynny „Gaika i Lubystek”, nie powinien chyba narzekać na brak gotówki — dodał po chwili zastanowienia.